NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370·50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień“, Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 30 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 16. lipca 1921. Nr. 29.

Zlot polskiego harcerstwa we Lwowie



Jenerał Józef Haller dokonuje przeglądu drużyn harcerskich. (Fot. M. Münz. Lwów)



Zlot polskiego harcerstwa we Lwowie: Protektor polskiego harcerstwa, jenerał J. Haller podczas defilady drużyn u stóp pomnika Mickiewicza.

Zlot polskiego harcerstwa we Lwowie.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

W dniach 1, 2 i 3 lipca gościł Lwów w swych murach najmilszych może sercu naszemu przybyszów, to jest harcerzy polskich, te kadry przyszłych obrońców Ojczyzny. Wybór miejsca Zlotu był bardzo odpowiedni, stał się bowiem niejako manifestacyą wobec całego świata, że Lwów był polski i polskim na zawsze musi pozostać.

Jak serdecznie witano młodych rycerzy i jaki nastrój panował w tych dniach we Lwowie, kreśli to bardzo wymownie jeden z naocznych świadków, który pisze:

„Przeciągają ulicami gromadki dzieci w skautowych mundurkach a nuta pieśni rycerskiej trzepoce się nad ich główkami, jak białe orlę o słońcem wyzłoconych piórach. Pieśni powstańców żałosne i pełne nigdy nie milknącego buntu, pieśni Legionistów dziarskie i bujne, wierzące mimo trudu i łez w bliski Świt Zmartwychwstania, pieśni żołnierzy polskich te junacko wesołe i te przesiąkłe żalem i tęsknotą — brzmią w ustach dzieci nowym dźwiękiem, nutą nowego promiennego jutra.

Gdzie idą te zastępy dzieci z radosną powagą w jasnych oczętach, gdzie dąży ten karny i zwarty tłum maleńkich żołnierzy? Gdzie prowadzi ich nuta przysięgi „Roty“ i skoczny rytm: „Jakto na wojence ładnie“. Co widzą przed sobą te zapatrzone w dal oczy, ku czemu prężą się rosnące skrzydła młodych orląt?

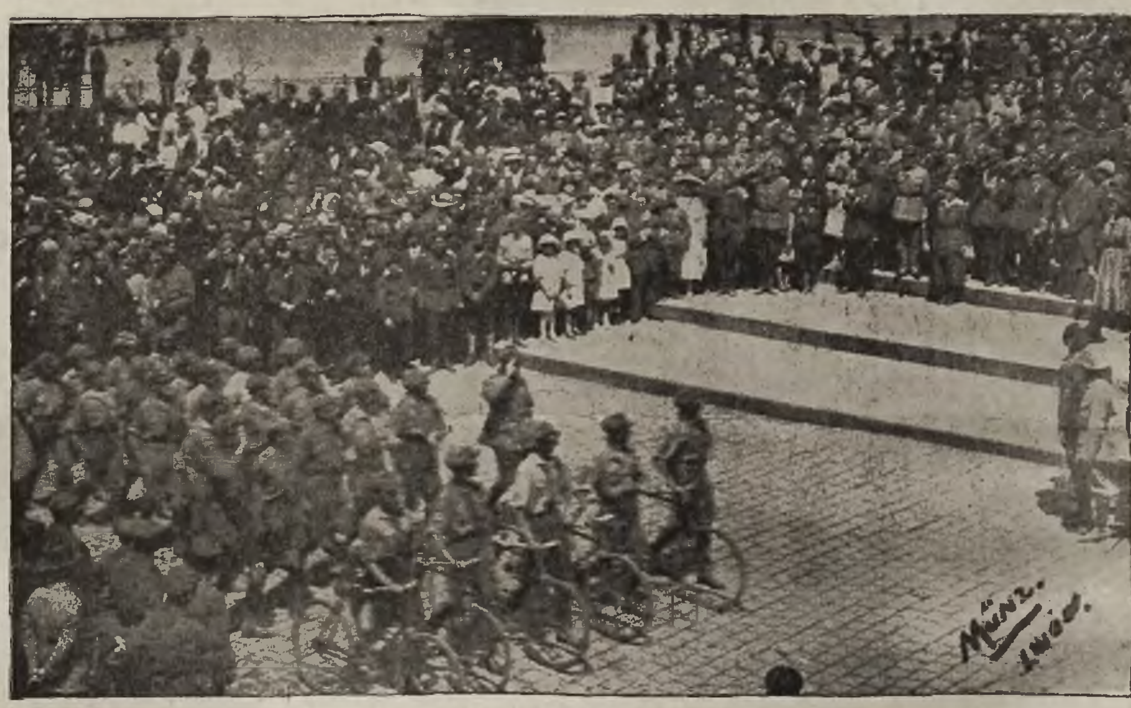
Oni idą ku Przyszłości.

Odprowadzają ich życzliwe oczy, dumny, ufny wzrok przechodniów. A jest tyle, tyle tego drobiazgu. I Warszawa i Wilno i Łódź i wszystkie prawie większe i mniejsze miasta Małopolski!

Podczas „defilady“ kroczy to wszystko, jak „starzy żołnierze“. Z cokołu pomnika patrzy ku nim spokojne i łagodne oblicze twórcy „Ody do młodości“.

Usta posągu zdają się mówić: „Razem młodzi przyjaciele!“

„Pryskają nieczułe lody
i przesądy światło ćmiące.
Witaj Jutrzenko swobody,
Zbawienia za Tobą słońce!“



Zlot polskiego harcerstwa we Lwowie: Drużyny harcerskie defilujące przed pomnikiem Mickiewicza.

U stóp posągu uśmiecha się ku płynącej tęczową falą rzeszy małych rycerzyków marsowa twarz Wodza Żelaznej Brygady, ukochanego „naczelnego Druha“ Hallera.

Jego oczy, które patrzyły na pożogi i łuny wojny, na pobojowiska i łany śmierci — odpoczywają spoglądając na kwietny wieniec najwspanialszych kwiatów młodzieńczej Polski.

I tak czasami splata się tu krwawa przeszłość walk o wskrzeszenie Polski — z przyszłością promiennie złotą wschodzącej jutrzenki!

Ale nie zapomnieli też skauci, o tych swoich braciach, którzy polegli, broniąc Lwowa podczas inwazyi ukraińskiej. Kiedy karne ich zastępy weszły w zieleń cmentarza „Obrońców Lwowa“, pieśń-czarodziejka rozsrebrzyła przed ich oczyma wizyę tych krwawych chwil:

„Pośród wichru i zamieci
huku dział i świstu kul,
bronią Lwowa polskie dzieci,
mężnie znosząc trud i ból.

Na pozycyach grzmią harmaty,
polska młodzież dzierży straż,
nie oddamy polskie chaty,
bo Lwów był i będzie nasz!“

Zapatrzyła się skautowska drużyna w srebrną wizyę, którą pieśń-wróżba przed ich oczyma roztacza. Widzą drobne postaci braciszków swych, małych obrońców Lwowa, jak żmudnie dźwigają za wielkie karabiny i cichutko padają na biały śnieg.

A pieśń-wróżba dalszą opowieść snuje:

„Już się nowa wiosna kwieci,
świeżych kwiatów wijąc wian.
Padły w boju polskie dzieci,
jak wiosennych kwiatów łan!“

Jeszcze oczy skautowskiej drużyny biegną ku cichym, skromnym mogiłkom, na których cała masa kwiecia krwawą falą się przelewa.

I teraz już nie tylko skauci śpiewają, ale przyłączają się do chóru drzewa cmentarne i chór kwiecia z mogił:

„Znowu w dali grzmią harmaty,
Oni w grobie pełnią straż
i grobowe szepczą kwiaty,
że Lwów był i będzie nasz!“

Śpijcie cicho, śpijcie spokojnie, bracia, obrońcy





Chorąży obozu ze sztandarem wśród asysty honorowej. **Zlot polskiego harcerstwa we Lwowie:** Kuchnia polowa w porze obiadowej.

Lwowa! Skautowy huf stoi u granic Polski i strzeże Jej serca, Jej ducha i buduje Jej przyszłość potęgi i mocy“!

Pierwszy dzień Zlotu obejmował otwarcie Wystawy harcerskiej w salach Kasyna i Koła literacko-artystycznego.

W trzech salach rozłożono dzieła rąk młodych, będące obiciem życia i myśli i usiłowań harcerza: sztandary harcerskie. Zwracał uwagę zwłaszcza sztandar kowieńskiej chorągwi harcerskiej, oraz zielony, duży sztandar, z którymi ongi nasi harcerze uczestniczyli w zlocie londyńskim. Niemniej zainteresowania budziły modele mostów, z mki i chaty — owoc pracy młodszych; staranna piękna oprawa książek i inne wyroby introligatorskie; miniaturowe, z mistrzowską cierpliwością wycinane i rzeźbione sprzęciki domowe, obrazy, fotografie z życia harcerskiego na łonie przyrody, wycinanki.

Wśród fotografii i czasopism spoczywa księga pamiątkowa I. drużyny lwowskiej, unikat w swoim rodzaju, pisana bowiem przez szereg lat, równolegle z biegiem i rozwojem życia harcerskiego, zdobna w obrazy i fotografie.

W ostatniej sali urządzono dwa warsztaty stolarskie dwa tokarskie i jeden introligatorski, przy których cały dzień pracują po kolei skauci.

Wystawa doskonale illustruje idee skautowe, w praktycznem jej wykonaniu.

Przy szczelnie nabitych salach, w obecności jen. Hallera, przedstawicieli władz i braci harcerskiej, przemówił wicepr. Stahl. Zwracając się z powitaniem do jen. Hallera, podniósł, że Zlot odbywa się we Lwowie, który pierwszy na ziemiach polskich był gniazdem idei skautowej, wyraził żal, że miasto w dzisiejszych warunkach nie może gości przyjąć, jak pragnie i zakończył okrzykiem na cześć Naczelnego Wodza.



Zlot polskiego harcerstwa we Lwowie: Przemówienie jenerała Hallera do harcerzy.



Zlot polskiego harcerstwa we Lwowie: Podczas mszy św. polowej na wzgórzu Cytadeli.

W kilku krótkich słowach odpowiedział jenerał Haller i ogłosił otwarcie Wystawy.

O godz. 4 popoł. odbyło się wieńczenie grobów na cmentarzyku Obrońców Lwowa. Stało się ono rzewną piękną uroczystością, a także wspaniałem przeglądem sił. Stanęło na cmentarzu przeszło 5·000 skautów, ze sztandarami swoich ziem, Małopolska, Kongresówka, Poznańskie, Pomorze, przysłały tu swe orlęta. Szczególnie gorąco witano drużynę z Wilna.

Na wzgórzu cmentarza, gdzie spoczywają zwłoki poległych za Polskę Francuzów, w obecności jenerała Hallera przemówił do zebranych naczelnik lwowskiego okręgu skautowego Niemczycki, ks. Mausberger, kapelan chorągwi warszawskiej, po francusku przemówił pułkownik de Renty, wreszcie ks. Panaś. Mowcy podkreślali cel idei skautowej i stawiali zebranym młodzieńczym rzeszom za przykład tych, którzy w tej ziemi legli snem nieprzespanym.

Złożono wieniec na grobie Francuzów, drugi na grobie lotników amerykańskich, dalsze zaś w kapliczce cmentarnej, poczem zebrani odśpiewali Anioł Pański.

Drugi dzień zajęły w całości ćwiczenia polowe drużyn w obozie w tak zwanych Miodowych grotach. Wypadły one wspaniale.

W trzecim dniu wzięli udział harcerze w mszy św. polowej na wzgórzu Cytadeli, poczem około godziny jedenastej rozwinęła się imponująca defilada przed pomnikiem Mickiewicza. W południe harcerze byli obecni na akademii w Teatrze, gdzie zjawili się również przedstawiciele władz. Po południu odbyły się ćwiczenia na boisku sokolem.

Całość Zlotu wypadła wspaniale i zgromadziła wiele tysięcy młodzieży ze wszystkich stron Polski.

Amerykańskie święto w Warszawie.

W dniu 4 lipca br. przypadła sto czterdziesta piąta rocznica ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Narodowe święto amerykańskie obchodzono w całej Polsce bardzo uroczyście, aby dać w ten sposób wyraz uczuciom sympatyi dla tego kraju, któremu mamy tyle do zawdzięczenia. Ostateczne rozstrzygnięcie światowej wojny, dzięki któremu uzyskała Polska po stuletniej przeszło niewoli niepodległość i zjednoczenie, to dzieło i zasługa głównie Ameryki. Z chwilą, gdy przycichł huragan wojenny, a w zniszczonej ogniem i mieczem Europie rozpoczęło życie wchodzić na nowe tory, Ameryka najbardziej zniszczonym krajom, głównie zatem Francyi, Belgii i Polsce pospieszyła z wydatną pomocą, bez której nie bylibyśmy sobie mogli dać rady. Pomoc ta skierowaną była przedewszystkiem na rzecz żołnierza walczącego w polu i wracającego po trudach wojennych pod domową strzechę, na rzecz młodzieży, a w szczególności dzieci, których miliony zawdzięczają Ameryce ocalenie od głodowej śmierci.

Jak ta pomoc się przedstawia i jak szerokie zatoczyła kręgi, daje wyobrażenie pobieżne jej zestawienie za czas od r. 1919 do 1 czerwca 1921.



Amerykańskie święto w Warszawie: Komitet obchodu na tarasie Pałacu Błękitnego z posłem Stanów Zjednoczonych Gibsonem w pośrodku. Aj. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Amerykański Wydział Ratunkowy z główną siedzibą w Warszawie, Fundacya dla Dzieci Europy, prowadzi swą akcyę dożywiania w 3000 miastach i miasteczkach.

Ogólna liczba dzieci do lat 17, które są żywione dzięki tej akcyi wynosi jeden milion trzysta tysięcy.

Dzieci w wieku poniżej lat trzech otrzymują jeden posiłek dziennie, składający się z 160 gramów mleka skondensowanego oraz 40 gramów ryżu i mąki, co wynosi 475 kaloryi. Dzieci w wieku powyżej lat trzech otrzymują porcyę, składającą się z 167 gramów dziennie. Każda porcya zawiera 62 gramy mąki 22 gramy mleka, 35 gramów fasoli, 10 gramów tłuszczu, 15 gramów cukru, 3 gramy kakao i 20 gramów ryżu, co wynosi 623 kaloryi. W niektórych wypadkach dozwolonem jest zwiększenie tych ilości do 100 proc. w zamkniętych instytucyach.

Ogólna ilość żywności rozdanej dzieciom w Polsce do 1 czerwca 1921 r. wynosi dziewięćdziesiąt tunkową. Organizacya ta przywozi żywność do Polski za pośrednictwem. Przekazy na tę żywność sprzedaje się w Ameryce osobom, pragnącym przyjść z pomocą swym krewnym lub przyjaciołom w Polsce. Tą drogą została przysłana żywność, wartości jakichś dwustu sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów zaofiarowana jako pomoc dla inteligencyi — trzysta dwuch tysięcy dolarów jako pomoc dla uchodźców — oraz dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów jako pomoc ogólna.

A. W. R. F. D. D. E. żywi również około piętnastu tysięcy młodzieży akademickiej w głównych ośrodkach wyższego wykształcenia: Lwowie, Warszawie, Krakowie, Lublinie, Poznaniu i Wilnie, dając im jeden posiłek dziennie, zawierający 305 gramów.

Wszystkie towary ratunkowe A. W. R., z wyjątkiem poszczególnych przekazów Amerykańskiej Składnicy Ratunkowej, są darem dla Polski.

Pozatem rozwija Ameryka bardzo wydatną działalność na polu opieki nad żołnierzem polskim, nad jeńcami pozostającymi dotąd w niewoli spiesząc im



Amerykańskie święto w Warszawie: Poseł Gibson z jedną z „delegatek“ na ramieniu.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Amerykańskie święto w Warszawie: Amerykański poseł Gibson, w otoczeniu delegacyi wojskowych, cywilnych i dzieci. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

pięć tysięcy tonn. Powyższa ilość równa się 9500 towarowym wagonom, które w połączeniu tworzyłyby pociąg długości 42 mil ang. Ilość posiłków wydanych od samego początku tej akcyi ratunkowej aż do 1 czerwca r. b. wynosi pięćset pięćdziesiąt milionów.

Oprócz tego Amerykański Wydział Ratunkowy, Fundacya dla Dzieci Europy rozdał dzieciom w Polsce siedmset tysięcy kompletów odzieży, oraz trzysta tysięcy par flanelowej bielizny.

Ogólna wartość żywności i odzieży rozdanej do 1 czerwca r. b. wynosi około trzydziestu pięciu milionów dolarów.

Amerykański Wydział Ratunkowy prowadzi subsydyowaną organizacyę Amerykańską Składnicę Ratunkową z pomocą i ułatwiając powrót do kraju, a głównie czynnemi prócz wyżej wspomnianej Fundacyi Amerykańskiej im. Hoovera, są tak popularna u nas obecnie Y. M. C. A. (Stowarzyszenie chrześcijańskiej męskiej młodzieży amerykańskiej) i amerykański „Czerwony Krzyż“. Te trzy instytucye w pracy humanitarnej idą ze sobą w zawody o lepsze, a świadczenia ich na naszą korzyść, obliczone na gotówkę, wynoszą miliardy.

Aby zamanifestować solidarność uczuć z inicytywy Komitetu w dniu święta w poniedziałek, 4-go lipca, w lokalu ambasady Stanów Zjednoczonych w pałacu Błękitnym przy ul. Senatorskiej nr. 37, składano karty przez przedstawicieli różnych instytucyi i osoby pojedyncze. Były to arkusze z podpisami zbiorowemi, bądź też karty wizytowe. Karty te składano p. posłowi pełnomocnemu Hugh Gibsonowi przez cały dzień.

W dniach obchodu komitet wysunął na pierwszy plan dzieci, których z górą milion korzysta w Polsce z pomocy organizacyi amerykańskich.

Właściwy obchód rozpoczął się w niedzielę, dnia 3 lipca wielkim festynem dla dzieci w Agrykoli, na który przybyli liczni przedstawiciele kolonii amerykańskiej z posłem Gibsonem. Była to zabawa dla dzieci, a zarazem hołd dzieci polskich dla przedstawicieli Stanów Zjednoczonych. Dzieci popisywały się ćwiczeniami ruchowemi przed ambasadorem amerykańskim i tłumami zebranej publiczności. Popis zakończył długi korowód dzieci przed lożą przedstawiciela Ameryki.

Z osobnym obchodem wystąpiła wojskowość, urządzając w Dolinie Szwajcarskiej uroczystość, której organizacyą imieniem Domu Oficera Polskiego zajął się pułkownik Rzewuski. Wzięli w niej udział jeneralicya wraz z korpusem oficerskim, przybyli przedstawiciele Ameryki i oficerowie francuscy.

W poniedziałek, dnia 4 lipca odprawił nabożeństwo w katedrze o godzinie 10 rano J. E. ks. kard. Al. Kakowski. Słowo Boże wygłosił kaznodzieja ks. prof. Szlagowski.

Z kościoła nastąpiła defilada do gmachu poselstwa w Pałacu Błękitnym, gdzie orszak z 200 dzieci wręczył p. posłowi Gibsonowi wybór darów dzieci Polski dla dzieci Ameryki.



Przemowa jednej z „delegatek“ dzieci polskich podczas wręczenia posłowi Gibsonowi (X) darów „dzieci Polski dla dzieci Ameryki“.



Amerykańskie święto w Warszawie: Delegacya dzieci polskich przed tarasem Pałacu Błękitnego.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM II.

— Nie jesteś kaleką. Każdy może doznać porażenia słońcem. Za dwa lub trzy tygodnie będziesz się śmiał z tego wszystkiego.

— Lecz mam czasami uczucie... że... to jest uczucie — śmierci...

— Kiedy? kiedy?

— Przeszłej nocy. Czułem się poprostu jak człowiek konający.

— Nie powinnam była pozwolić, żeby doktor Hartley wyjechał. Ale mówiłeś, że chcesz być ze mną sam na sam. Nieprawdaż, Nigel?

— Tak. Czułem jakoś, że Hartley na nic się nie przyda, że żaden zwykły człowiek nie może mi pomóc. Miałem wrażenie, jak gdyby to było fatum i jak gdybyśmy oboje musieli to zwalczyć. Czułem, że gdyby... może... nasza miłość...

Głos zwolna zamierał.

Isaacson zacisnął pięści i uczynił krok wstecz. Drżący nędzny pies uciekł, bojąc się uderzenia.

— Co to było? — rzekł Nigel.

— Słyszałeś co?

— Tak, jakby czyjeś kroki.

— Oh, to ktoś z naszych ludzi. Czy chcesz, żebym ci jeszcze grała?

— Czy możesz grać bez światła? Boję się teraz światła... a tak je lubiłem dawniej!...

— Spróbuję.

— Lecz będziesz musiała odejść! Zaczekaj chwilę. Ach, Ruby, to okropne! Mam wrażenie, że stoję nad przepaścią i że... bez podtrzymującej mnie ręki — musiałbym upaść — ja — nigdy, nigdy nie myślałem, że dojdę do tego, Ruby!

— Nie myśl o tem, najdroższy. Każdy...

— Tak, tak — wiem. Lecz nie znoszę — to nie jak mężczyzna. Idź i zagraj mi znowu.

— Nie będę grała „Gerontiusa", przywodzi ci na myśl, smutne, straszne rzeczy.

— Owszem, graj go znowu. Te nuty stały na twojem pianinie, kiedy cię odwiedziłem wtedy... w Londynie.

Wyszła.

Isaacson już się nie wahał. Wszedł na brzeg i zatrzymał się chwilę. Oddech jego był przyśpieszony. W dole odezwał się fortepian. Bella Donna nie zobaczyła go, nie odgadła jego obecności. Mógł odejść podczas gdy grała i ona nigdy się nie dowie, że podsłuchiwał w nocy. A jutro, w słońcu, mógł wrócić otwarcie, nie zważając na zakaz i zapytać o swego przyjaciela.

„Proficiscere, anima christiana, de hoc mundo"!

Przyjdzie i zobaczy tę twarz ze zmienionym głosem, którego początkowo nie mógł poznać.

— Wyjdź z tego świata, duszo chrześcijańska! wyjdź z tego świata!

Zawrócił do dalekich świateł, które ukazywały miejsce, gdzie stała Fatma, pod Edfu.

— Wyjdź!... wyjdź z tego świata!

Czy to był głos księdza? Czy też może niszczycielski głos kobiety?

Isaacson odetchnął spokojnie; rozwarł ręce. Znowu panował nad sobą. W ciemności na wybrzeżu stał wielki lekarz. A ten lekarz nie miał nic do czynienia z dalekiemi światłami pod Edfu. Pole jego działalności leżało gdzieindziej.

— Wyjdź — wyjdź z tego świata!

Uczynił kilka kroków wybrzeżem i wszedł na pomost, łączący Lonlię z brzegiem. Odsunął zapuszczone płótna i stanął na pokładzie. Liczne czarne oczy patrzały na niego poważnie. Hanza odłączył się od zakłopotanego tłumu i podszedł do Isaacsona.

— Oddaj ten bilet swemu panu i spytaj się, czy mogę się z nim widzieć.

— Yes — rzekł Hanza i poszedł.

Dźwięki fortepianu nagle umilkły.

XII.

Nastała chwila ciszy, która wydała się Isaacsonowi nieskończenie długą. Już nie czuł podniecenia. W człowieku tego typu podniecenie jest dzieckiem niepewności. Obecnie wszelka niepewność co do tego, co zamierzał uczynić, opuściła go. Spokojny, zdecydowany, panujący nad sobą, jak gdyby siedział w swym konsultacyjnym gabinecie, przyjmując pacyentów, czekał na powrót służącego. Liczne czarne oczy spoglądały na niego uroczyście, a on patrzał na nie i był pewny, że jego oczy nie powiedzą im więcej, niż chciał.

Wychodząc, Hanza zamknął za sobą drzwi. Isaacson spojrzał na nie i zobaczył napis, który Barondi przetłómaczył Mrs. Armine. Zapytywał się, co on znaczy i był przekonany, że musiał mieć jakieś głębokie znaczenie, jeżeli człowiek, którego widział przykucniętego pod zakopconym sufitem latarni haszyszu, umieścił go jako motto na swej cudnej łodzi.

Wreszcie drzwi się otworzyły i Hanza zrobił ruch zapraszający. Isaacson zszedł ze schodów i został wprowadzony do pierwszego salonu Lonlii, pokoju, który Barondi nazywał swoim. Drzwi z przeciwnej strony, wychodzące na pokój jadalny, były zamknięte. Mrs. Armine stała przy biurku, trzymając bilet Isaacsona w ręku. Skoro tylko przekroczył próg salonu, Hanza wyszedł i cicho zamknął drzwi za sobą.

Mrs. Armine była czarno ubrana. Na policzkach miała dwie źle namalowane plamy. Patrzała na niego twardo, pytająco i podniosła rękę.

— Cicho, proszę — rzekła zniżonym głosem. — On nie wie, że pan tu jest. Śpi teraz.

Oczy jej przebiegły jego twarz i dodała:

— Grałam, grałam, żeby go uśpić.

Jakby sobie przypominając, wyciągnęła rękę do Isaacsona. Podszedł cicho i ujął ją. Uczyniła jakby mimowolny, prawie gwałtowny ruch, lecz wstrzymała się, przygryzając wargę. Zauważył pulsacyę w jednej z jej powiek. Zatrzymał jej rękę i powiedział również zniżonym głosem:

— Lękam się, że moje przybycie o tej porze bardzo panią zdziwiło. Proszę mi przebaczyć, lecz...

— A mój list? — zapytała.

— Czy mogę usiąść? Co za wspaniałe kobierce! Jaka to nadzwyczajna łódź!

— Oh, proszę siadać... na otomanie. Tak, kobierce są piękne...

Śpiesznym krokiem, bez zwykłego wdzięku, podeszła do najbliższej otomany. Podążył za nią. Usiadła, lecz się nie oparła. Bilet jego upadł na podłogę.

— Pan czytał mój list! A zatem?

Isaacson miał wrażenie, że w jego towarzyszce toczy się teraz zacięta walka pomiędzy gwałtownym wybuchem a dyplomacyą. Był ciekawy, którą z tych dwóch dróg obierze, lecz właściwie nie dbał o to. Wiedział, że nie wpłynie na zmianę jego postanowienia.

— A zatem? — powtórzyła wciąż przyciszonym głomsem.

Zegar z kukułką się odezwał.

— Nieznośny...

Zerwała się, pobiegła do zegara, szarpnęła za drzwiczki i wsunęła palce do wnętrza. Dał się słyszeć suchy trzask. Powróciła z lekko zadraśniętymi palcami.

— To doprowadza Nigla do szaleństwa. Powinnam była oddawna ten zegar zatrzymać. Pan otrzymał mój list, a ja pańską odpowiedź.

— I ma się rozumieć, pani znajduje, że nie powinienem był przyjść.

Spojrzała na niego i usiadła. Isaacson odgadł, że już obrała drogę.

— Przypuszczam, że pan był zaniepokojony i chciał się dowiedzieć więcej szczegółów odemnie. Czy zgadłam?

— Czułem się zaniepokojony. Przyznaję.

— W jaki sposób pan przybył?

— Przyszedłem piechotą.

— Pan przyszedł? Sam?

— Zupełnie sam.

— Tak daleko! Odeszlę pana feluką.

Dotknęła się elektrycznego dzwonka. Wszedł Hanza.

— Feluka, Hanza.

— Yes. — Wyszedł.

— Zaraz ją przygotują.

Zaczęła poprawiać poduszki. Isaacson zauważył żółtawy odcień na jej skroni. Widocznie malowała się z pośpiechem, bez zwykłej staranności.

— Za chwilę ją przygotują — powtórzyła.

Zwróciła się do niego, nagle uśmiechnięta.

— Pan się czuł zaniepokojonym, pomyślał, że chciałby się dowiedzieć czegoś więcej i przyszedł w nocy, żeby Nigla nie obudzić i nie zadziwić. To bardzo ładnie z pańskiej strony. Prawdę powiedziawszy, nie mówiłam mu o naszem spotkaniu. Miałam ten zamiar, lecz musiałam go zaniechać.

— Czytał wszystko, co dzienniki pisały o śmierci Hartwich'a i to go zupełnie zgnębiło.

Spostrzegła nagle kropelki krwi na swych palcach.

— Oh! — zawołała, wyjmując chusteczkę i przyciskając ją do nich.

Hanza się ukazał.

— Ah, feluka gotowa — rzekła.

— Niezwykłego ma pani lokaja — rzekł Isaacson.

Pomimo przyciszonego głosu mówił spokojnym tonem światowego człowieka, który się czuje zupełnie swobodny i ma przyjemną godzinę przed sobą.

— Widziałem, jak się modlił.

— Jak się modlił?

— Tak, wtedy, kiedy przyniósł list.

— Wyraz zgrozy ukazał się na jej twarzy, lecz zaraz znikł.

Siedziała na brzegu otomany, jakby zamierzała zaraz wstać. Isaacson założył nogę na nogę.

— To, co pani powiedziała dziś rano o swym mężu zaniepokoiło mnie.

— Widocznie mówiłam bardzo nieuważnie — rzekła prędko.

Przez cały czas rozmowy czyniła lekkie ruchy — nigdy nie pozostawała w spokoju.

— A więc pani nie jest zaniepokojoną jego stanem?

— Ja... tego nie mówię. Naturalnie, że żona czuje zawsze trochę niepokoju jeżeli jej mąż chory. Lecz jest tak znacznie lepiej, że byłoby niedorzecznością się trapić.

— Przyznam się, że z rana pani obudziła mój zawodowy niepokój.

— Doprawdy nie rozumię jakim sposobem.

— Pani wie, że my lekarze zwracamy wielką uwagę na symptomaty, a pani powiedziała kilka szczegółów, z których wnoszę, że mąż pani ma się gorzej, niż się pani wydaje.

— Doktór Barring Hartley go leczy.

— Lecz go tutaj niema.

— Przyjeżdża jutro rano.

— Zrozumiałem, że oczekuje na państwo w Assnau. Pani wybaczy, że chciałbym się wtrącić do tej sprawy. Jako dawny przyjaciel męża pani...

— Doktór Hartley jest w Assnau, lecz przyjedzie jutro, żeby odwiedzić swego pacyenta. Pan widocznie nie wie, że Assnau jest blisko stąd, zaraz przy skręcie.

— Wiem, że jest oddalony o sto dziesięć kilometrów.

— Statkiem parowym, albo koleją, taka odległość to nic. Będzie tutaj jutro.

— A więc mąż pani czuje się gorzej?

— Wcale nie.

— Ale jeżeli pani posłała po doktora Hartley'a?

— Uczyniłam to tylko dlatego, że zamiast popłynąć zaraz do Assnau, jak mieliśmy początkowo zamiar, postanowiliśmy jeszcze tutaj pozostać. Nigel chce spokoju. Pan zapomina, że tylko co stracił jedynego brata.

— Pani ma na myśli, że to niedelikatnie z mojej strony narzucać się w tych smutnych dla państwa chwilach?

— Nie chcę tego powiedzieć — rzekła twardo.

— Obawiam się, że pani to myśli. Będę z panią szczerym, Mrs. Armine! Tutaj jest mój przyjaciel chory, bez lekarskiej pomoey...

— Chwilowo tylko.

— Chwilowo bez lekarskiej pomocy, w bardzo samotnej miejscowości.

— Drogi doktorze! — podniosła swe cienkie brwi — słysząc pana — możnaby pomyśleć, że się znajdujemy na końcu świata, a nie w środku cywilizacyi i ludzi.

— I tutaj przypadkiem — zobaczył na jej ustach grymas, który ją nagle uczynił znacznie starszą — przypadkiem znajduję się ja, dawny znajomy, przyjaciel, i jeżeli mogę tak sobie powiedzieć — używający dobrej sławy lekarz. Czy to nie naturalne, że przychodzę zobaczyć, jak się chory czuje?

— Och, zupełnie, i powiedziałam panu jak mu jest.

— Czy nie byłoby naturalnem, żebym chciał widzieć chorego?

Usta jej się skrzywiły. Przycisnęła ręką poduszkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

49 L

Zresztą list wydał mu się rzeczą nie nazbyt bezpieczną i że posłużyć mógł tylko Racheli do silniejszego odparcia jego usiłowań, dążących do zobaczenia się z nią. On zaś na razie pragnął tylko jednej, jedynej rzeczy — ujrzenia jej za wszelką cenę.

Wstępując po schodach kamiennych, Róża szeptem odmawiała modlitwy, błagając Boga, aby misya, powierzona jej przez hrabiego, udała się, choć sama w to nie wierzyła wcale.

Kiedy dochodzili już pod klasztor, Ranieri zatrzymał się na zakręcie schodów, skąd już doskonale mógł widzieć ciężka bramę klasztoru, szczelnie zamkniętą.

— Na miłość Boga, Różo — błagał raz jeszcze proszącym, zmienionym głosem — mów do niej, wyjaśnij, wytłómacz. powiedz, że ją kocham zawsze do szaleństwa, że umieram bez niej, w tęsknocie i rozpaczy.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy — szepnęła stara służąca i ciężko potrząsając głową, jak gdyby misya, z którą tam szła, za ciężką była na jej ramiona — szła po schodach szerokich, prowadzących do głównej bramy. Ranieri, ukryty w zagłębieniu kamiennem, widział, jak podeszła do ciężkich drzwi, kutych żelazem i pociągnęła za łańcuch, poruszający dzwonem alarmowym. Widział również, że czekała długo i że kilkakrotnie pociągać musiała łańcuchem, zanim jej otworzono. Nakoniec z ostrym zgrzytem otworzyło się małe okienko w bramie i po kilku minutach rozmowy z kimś niewidzialnym Róża nareszcie zniknęła z jego oczu. Następnie Ranieri usłyszał głuchy łoskot zamykającej się bramy.

— Oh! to jest prawdziwe więzienie — jęknął z boleścią — ale wszystko mi jedno! Żadne zamknięcia, żadne drzwi, choćby żelazne, oprzeć się nie mogą przed siłą człowieka, który kocha prawdziwie.

Ale równocześnie opanował go wielki niepokój. Lękał się, że ujrzy Różę wychodzącą zaraz z klasztoru, coby oczywiście znaczyło, że nie udało jej się uzyskać widzenia się z Rachelą. I ten niepokój zamienił się wkrótce w marę dręczącą.

Wsparty o kamienną poręcz schodów, z oczami utkwionemi w bramę klasztorną, drżąc pod uderzeniami zimnego wiatru, Ranieri nie zdawał sobie już sprawy z niczego, przejęty tylko szaloną trwogą ujrzenia zapłakanej twarzy Róży, wypędzonej bez litości okrutnym uporem Racheli.

Kilkakrotnie, gorączkowym ruchem, wyciągnął z kieszeni zegarek i spoglądał na posuwające się wskazówki i kiedy pierwsze dziesięć minut ubiegło, odetchnął z ulgą i serce jego niespokojne, normalniej bić zaczęło! Już teraz mógł być pewnym, że Róża dopuszczoną została do Racheli. Nie znał jednak zupełnie wewnętrznej organizacyi życia klasztornego, nie wiedział, że czas tam jest całkiem inaczej obliczony i że jedna godzina w tych murach nie może być porównaną z godziną, upływającą w życiu światowem.

Nieobecność Róży trwała bardzo długo. Godzina dziesiąta, następnie jedenasta wybiły na okolicznych zegarach. Ranieri z początku nie niecierpliwił się tem wcale; przeciwnie, to opóźnienie nie było złowróżbne dla jego sprawy, wykazywało tylko pewność niezbitą, że Róża rozmawia z Rachelą.

Ale w końcu to przedłużające się oczekiwanie zaczęło mu dziwnie ciężyć. Cóż tam robić tak długo mogła jego posłanniczka. Czyżby i ona stamtąd wyjść nie miała? Czy także chciano ją tam pogrzebać jak Rachelę?

Przecież Róża wiedziała, że on tu czeka z tym samym niepokojem i trwogą, jak gdyby w tej godzinie rozgrywać się miał los jego życia! Jak mogła skazać go na tak dręczące oczekiwanie! Cóż się stać mogło!? Może Rachela była chorą?

Teraz już każda upływająca minuta przyczyniała się do jego serdecznej udręki. To co niedawno było całą jego nadzieją, zamieniło się w okrutne rozczarowanie. Zdawało mu się od czasu do czasu, że słyszy głuchy zgrzyt bramy klasztornej, że widzi, jak się otwiera szeroko. Ale to wyobraźnia podniecona zwodziła go tylko. Było już wpół do dwunastej, a Róża nie pokazywała się. Już gniew głuchy szarpać zaczął Ranierim i namyślał się, czyżby nie pójść tam samemu i odważnie zapukać do tej bramy — wtargnąć siłą do klasztoru i dostać się do Racheli! Kilka razy więc wbiegł szybko po schodach, dzielących go od murów klasztornych i już chciał uchwycić za łańcuch i poruszyć gwałtownie dzwonem, ale za każdym razem powstrzymywał się od tego ostatecznego kroku resztkami silnej woli i lękając się, aby ta nieostrożność nie była dla jego nadziei decydującą — zstępował powoli ze schodów i powracał z głową spuszczoną do swojego punktu obserwacyjnego.

Nareszcie w chwili, kiedy wybiła już godzina dwunasta, brama otworzyła się i Róża ukazała się w niej. Zbiegła szybko po schodach, podążając ku Ranieremu, który pochwycił jej rękę i utopił w jej twarzy spojrzenie, gorejące najwyższym niepokojem. Drżał tak silnie, iż nie był w stanie słowa wymówić.

Róża była zmięszana, ale w wyrazie jej twarzy było coś tajemniczego, coś, co uduchowiało dobroduszne jej rysy i nadawało jej wygląd niecodzienny.

— Jeszcze chwilę cierpliwości, Ekscelencyo — szepnęła, oglądając się. — Będziemy mówić, kiedy dojdziemy do Corsa, teraz chodźmy!

Ranieri nic nie odrzekł i z głową nisko schyloną szedł obok niej automatycznym krokiem. Kiedy dostali się do Corsa, Róża skinęła na dorożkę, do której wsiedli i podała adres Grand-Hotelu. Ażeby móc swobodniej mówić i ukryć twarz swoją zmienioną, Ranieri rozkazał opuścić budę powozu.

— A więc widziałaś ją? — zapytał ledwie dosłyszalnym głosem, kiedy konie ruszyły z miejsca.

— Tak, widziałam ją! — odpowiedziała Róża, nie podnosząc głowy.

— Kiedy? Jak?

— Zaledwie dziesięć minut temu.

— Dziesięć minut? A pozostałaś tam trzy godziny?

— Była na chórze. Potem w kościele na medytacyi, a w końcu musiano czekać na pozwolenie przełożonej.

— Na chórze! Więc ona już nie jest nowicyuszką? Przywdziała welon zakonny?

Stara pochyliła jeszcze niżej głowę na piersi i nie odpowiedziała.

— Powiedz — nalegał Ranieri. — Ona już jest zakonnicą...

Róża milczała...

— Nie chcesz więc objawić mi tę straszną nowinę! — zawołał drżącym głosem. — Miej odwagę, Różo! Pewność jest mniej przykrą, niż niepewność okrutna. Jest zakonnicą — prawda?

Mówiąc to gwałtownym ruchem uchwycił jej rękę.

— Niech się pan uspokoi — prosiła stara, usiłując uwolnić rękę. — To przecież nie moja wina.

— Oh! tak! ona jest już zakonnicą — jęknął Ranieri rozpaczliwie. — Straciłem ją już na zawsze! I ja mam żyć jeszcze!

Szybkim ruchem otworzył drzwiczki powozu i uczynił ruch, jak gdyby chciał się rzucić pod koła przejeżdżającego tramwaju, ale Róża silnie uchwyciła jego ramię.

— Nie, ona nie jest jeszcze zakonnicą — wymówiła silnym głosem.

— Ah! — westchnął głęboko Ranieri i upadł ciężko na poduszki powozu.

— Ale to tak samo, jak gdyby nią już była — dokończyła po chwili stara uroczystym głosem.

— Jakto? Co ty mówisz?

— Uroczystość złożenia ostatnich ślubów nastąpić ma za dwa tygodnie.

— Za dwa tygodnie! Dlaczego tak prędko?

— Bo ona sama prosiła o skrócenie dni nowicyatu, bo pozwolenie to właśnie nadeszło i ona za dni piętnaście będzie na zawsze należeć do „pogrzebanych żywcem"!

— Kto ci o tem mówił? Czy ona sama?

— Furtyanka objawiła mi to pierwsza, a potem tę samą wiadomość potwierdziła mi siostra Gracya.

— Kto jest ta siostra Gracya? — zapytał Ranieri z przestrachem.

— To ona! To Rachela! Takie imię przybrała w klasztorze.

— Nawet imię jej zmienione — szepnął Ranieri do siebie... Cóż ona ci mówiła — powiedz wszystko Różo, powiedz!

— Nie chciała się ze mną widzieć!

— Nie chciała! A jakże się potem stało, że się następnie zgodziła na to widzenie?

— Matka przełożona przyprowadziła ją sama do rozmównicy. Powiedziała jej, że nowicyuszka przed włożeniem welonu musi pożegnać się i widzieć z rodziną i znajomymi, aby później nie objął ją żal za nimi i za światem. A więc siostra Gracya zdecydowała się na widzenie się ze mną przez posłuszeństwo matce przełożonej.

— Różo, powiedz mi, jak ona teraz wygląda? Czy zmieniła się?

— Jest szczuplejsza, chudsza i jeszcze bardziej blada... ale zarazem i piękniejsza jeszcze. Ona już nie ma wyglądu kobiety, Ekscelencyo, tylko anioła.

— Oh! Rachelo! Rachelo moja! — jęknął młody człowiek z rozpaczą.

— Chciałam ucałować jej rękę, ale nie pozwoliła na to. Przyjęła mnie jednak z dobrocią i pytała się, jak żyję, czem się zajmuję.

— Mówiłaś jej o mnie?

— Tak, mówiłam.

— Co takiego?

— Że odnalazłam Ekscelencyę, że Ekscelencya nie jest w niczem winien tej okropnej rzeczy, o którą został posądzony, że Ekscelencya kocha ją zawsze i pragnie ją koniecznie widzieć.

— I cóż odpowiedziała?

— Z początku nic. Kiedy usłyszała imię Ekscelencyi, zbladła bardzo, tak, że się przelękłam o nią, ale nie przerywała mi, jak to czyniła dawniej, kiedy jej mówiłam o panu. A kiedy jej opowiedziałam, jak cudownym sposobem Ekscelencya uniknęła śmierci, łzy zabłysły w jej oczach.

— Oh! Rachelo! Rachelo! — powtórzył Ranieri złamanym głosem.

— Ale kiedy powiedziałam jej, że Ekscelencya kocha ją zawsze głęboko, spuściła oczy i twarz jej stała się w jednej chwili surową i zimną jak kamień.

— I nie wyrzekła wówczas do ciebie ani jednego słowa?

— Owszem...

— Co powiedziała, Różo! Cóż powiedziała! Mówże prędzej! Nie dręcz mnie tak okropnie.

— Powtórzę wiernie Ekscelencyi własne jej słowa: „On nie powinien mnie kochać — musi o mnie zapomnieć. Umarłych nie kocha się ziemską miłością, a ja należę już do umarłych".

— Boże mój! Boże! — zawołał Ranieri, ukrywając twarz w dłoniach.

— Jednakże — ciągnęła dalej Róża — nalegałam bardzo na nią, by zechciała zgodzić się na widzenie się z Ekscelencyą...

— I co Różo! Co? Uzyskałaś może jej pozwolenie?

Okazała się bardzo surową i powtórzyła mi parę razy: „Powiedz mu, że nie zobaczymy się już nigdy, że należę już tylko do Boga, że złożyć mam ostatnie śluby za dwa tygodnie i że w dniu tym poświęcę się Bogu w zamian za spokój i zapomnienie, jakie zeszle na niego.

— I nic więcej Różo, nic więcej?

— Nic więcej dla pana, Ekscelencyo.

— Wspominała ci także o innych osobach?

— Tak, o matce swojej i ojcu. Pragnęła ich oboje ujrzeć przed zostaniem zakonnicą. Czy Ekscelencya wie, że ona głęboko wierzy, iż matka jej żyje jeszcze?

— I naprawdę nic więcej nie kazała ci dla mnie powiedzieć — nalegał słabym głosem Ranieri.

— Nic więcej, Ekscelencyo.

— Wszystko więc jest skończone — jęknął młody człowiek.

Zniechęcenie hrabiego Ranieri Lambertini nie trwało jednak długo. Kiedy znalazł się w jakiś czas później sam w swoim hotelowym pokoju, objął go nagły bunt na los, który pozbawiał go widoku Racheli i silna reakcya ujawniła się w nim, zwalczając dawne przygnębienie.

Zapomniał już o surowych, zimnych słowach Racheli, wypowiedzianych przez usta Róży. Chciał o nich zapomnieć, bo wydawało mu się niepodobieństwem, aby je wymówić miała kobieta ukochana i która kochała go do tego stopnia, że opuściła dla tej miłości dom rodzinny, zaparła się religii i przodków swoich i teraz pożegnać świat chciała na zawsze!

(Dalszy ciąg nastąpi).

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

Od tego czasu minęło kilka miesięcy! Żal Helenki jakkolwiek szczery i gwałtowny, minął prawie zupełnie. Skupowała fatałaszki na wyprawę, przyjmowała narzeczonego i ciągle ubolewała nad długim terminem wyznaczonym przez ojca. Nie zastanawiała się wcale, nad przestrogami ojca, ani nad jego prośbą, aby starała się poznać bliżej swego narzeczonego.

Niecierpliwiło to Celinę, której stosunek do p. Władysława był nieznośnym. Nie mogąc zamknąć przed nim domu, ani usunąć się od jego towarzystwa, stała się zimną i ceremonialną. Nigdy pierwsza do niego nie przemówiła, nigdy mu ręki nie podała, witała go i żegnała niemym ukłonem. Pan Władysław udawał, że tego nie widzi, wzbierał w nim jednak gniew i zawziętość. Powiedział sobie, że ma w niej nieprzyjaciółkę! Żałował mocno, że dał się schwytać przy biurku i że wogóle tak lekceważył sobie jej osobę. Ale któż mógł wówczas przewidzieć, że dom jej będzie domem Helenki, a ona, tak spokojnie znosząca szyderstwa sióstr i jego ton protekcyjny, stanie się nagle taką zaciętą i nie ubłaganą. Widząc jak jest nieprzychylną związkowi Helenki, pragnął przyspieszyć ślub i w tym celu działał na Helenkę namową, pieszczotami i rozpaczą.

To też Helenka coraz więcej poddawała się jego wpływom, tem bardziej, że była ograniczona tylko do towarzystwa swego narzeczonego, w pierwszych bowiem miesiącach po śmierci ojca nie wypadało ani bywać w świecie, ani przyjmować u siebie.

Pewnego razu, gdy Helenka układała plany przyszłego życia, zniecierpliwiona Celina zawołała;

— Ten człowiek nie wart ciebie, ja nie dopuszczę do tego związku...

— Ty Celino, ty — wyjąkała zdumiona Helenka patrząc na przyjaciółkę.

— Tak jest — powtórzyła Celina — on ciebie niegodny, ciężkie podejrzenia ciężą na nim.

— Podejrzenia nad Władkiem — mówiła osłupiała Helenka — co ty mówisz Celino i jak śmiesz — dodała oburzona — mięszać się do mnie, nawet ojciec nie zakazywał mi tego związku.

— Wyraźnie nie zakazywał — odparła Celina — lecz cóż innego znaczyły jego przestrogi i odkładanie ślubu?

— Władek ma słuszność — mówiła Helenka płacząc — że tobie przypisuje te wszystkie powikłania! Zawsze byłaś dla nas nieprzychylną, zawsze miałaś coś do zarzucenia Władkowi, ale to zazdrość mówi przez ciebie, niska zazdrość — kończyła obcierając chusteczką oczy.

— Helenko zmiłuj się czegoż ja mam tobie zazdrościć? Czyż nie mam dobrego męża, domu, własnego dostatku.

— Miłości zazdrościsz mi! — zawołała Helenka coraz bardziej wzburzona — poszłaś za mąż nie kochając, a może nawet kochając innego! O gdy o tem pomyślę — dodała mierząc Celinę rozognionem spojrzeniem, to radabym nie widzieć cię więcej, radabym dziś jeszcze wyprowadzić się z twego domu.

— Zapominasz, że mąż mój jest twoim opiekunem, a dom nasz zarazem twoim domem — rzekła Celina z godnością. — Wiem kto zasiał te podejrzenia w twojem sercu, usprawiedliwiać się z tego, znaczyłoby ubliżać sobie, ale powiem ci tylko tyle, że wolałabym zbliżenie grzechotnika, niż tego człowieka.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł pan Władysław, smukły, elegancki, ze swą bladawą twarzą i palącemi oczyma.

— Ratuj mnie, ratuj nas oboje — zawołała Helenka rzucając się z płaczem w jego objęcia — chcą nas rozłączyć.

Pan Władysław objął rękami drobną kibić, a zbladłą twarz z drwiącym uśmiechem, zwrócił do swej przeciwniczki.

Celina stała oparta o fotel mierząc go pogardliwem spojrzeniem.

— Uspokój się biedactwo — szepnął wreszcie — nikomu nie dam wydrzeć sobie mego skarbu.

— Helenko posłuchaj mnie ze spokojem, na jaki zasługuje tak ważna sprawa — mówiła Celina do przyjaciółki, której główka spoczywała na piersiach pana Władysława. — Teraz nie czas na czułości, oskarżenie moje powtórzę w jego obecności, a ty rozsądź!

Pan Władysław, któremu ciężyła niewygodna pozycya, posadził Helenkę na kanapce, a sam stanął obok i założywszy ręce na piersiach, gotował się słuchać z udaną powagą.

— Pamiętasz tę noc po śmierci twego ojca, w której przy tobie zostałam? — zaczęła Celina poważnym głosem — gdy zasnęłaś, chciałam pojechać do domu, ale pierwej polecić cię opiece gospodyni. Szukając jej po całym domu, weszłam wreszcie do pokoju zmarłego, gdzie ze zdumieniem znalazłam pana Władysława przy biurku nieboszczyka. Przeglądał jakieś papiery z takiem zajęciem, że na wszystko był ślepy i głuchy. Zapytaj go czego szukał i zkąd wziął klucze.

— I to jest owo ciężkie podejrzenie ciężące nad nim? — zawołała szyderczo — któż wie czy ja go o to nie prosiłam i czy ja sama kluczy mu nie dałam.

— Biedne zaślepione dziecko — westchnęła Celina.

— Dzięki ci najdroższa za to zaufanie — zawołał pan Władysław tkliwym głosem — czyż jednak możesz uwierzyć temu? — dodał patrząc na nią z wyrzutem — są to wszystko machinacye, aby nas rozłączyć! Wszak wiesz, że o nagłej śmierci twego ojca, chociaż nastąpiła z wieczora, dowiedziałem się dopiero nazajutrz rano w szpitalu. Dalej przypomnij sobie, że gospodyni czuwała całą noc przy nieboszczyku. Otwierając biurko musiałbym wyjąć kluczyki z pod poduszki zmarłego, gdzie je na noc chował i napowrót je tam położyć, czyż gospodyni nie byłaby mnie spostrzegła i pierwsza to rozgłosiła? Zapytaj ją, zapytaj Jana, wiernego sługi twego ojca, czy mnie kto widział? Wszakże nie jestem duchem, abym się mógł niepostrzeżenie prześlizgnąć wobec tylu świadków.

— Ha, widzę, że maska przyrosła ci do twarzy zbrodniarzu! — zawołała Celina w najwyższem uniesieniu — kiedy tak umiesz wszystko wytłómaczyć, powiedz mi co się stało z Jerzym Porajem? bledniesz, cofasz się, trafiłam cię wreszcie, jestem jego córką, rozumiesz?

— Ta kobieta oszalała — mruknął pan Domejko ocierając pot z czoła.

— O nie, jestem przy zdrowym rozumie, a oto świadek dodała chwytając za rękę wchodzącego pana Michała.

— Co to znaczy — zawołał tenże marszcząc czoło i spoglądając po otaczających.

— Jestem córką Jerzego Poraja? — powiedz...

— Cóż złąd...

— Ten pan nie chce temu wierzyć — rzekła z szyderczym uśmiechem na pobladłych ustach.

— Dlaczego? — zapytał pan Michał z niekłamanym zdziwieniem.

— Bo głos mój obudził w nim sumienie Kaina...

— Uspokój się mówił pan Michał patrząc surowo na żonę — jesteś zgorączkowana, słaba, ledwie trzymasz się na nogach.

— Oko lekarza już dawno to spostrzegło — ozwał się pan Domejko szyderczym głosem.

— Sądź mnie jak chcesz — mówiła niecierpliwie — lecz dziś musi się wszystko wyjaśnić! — a widząc zdziwienie pana Michała mówiła dalej — Ty wiesz tyle o śmierci mego ojca co inni, mianowicie, że utonął. Tymczasem późnym już wieczorem odszedł w towarzystwie tego człowieka i jego godnego kompana, z nimi noc całą przepędził, a nad ranem znaleziono go w... Wiśle.

— Ja ci powiem co jest prawdą na tem wszystkiem — zawołała Helenka z oburzeniem zrywając się z kanapki — jak ci już raz powiedziałam, całą historyę wymyśliłaś z zazdrości. — A stanąwszy na środku pokoju ciągnęła dalej gestykulując żywo — od pierwszej chwili przestrzegałaś mnie przed Władkiem, pozwalając z całym spokojem na grzeczności i nadskakiwania tobie. Gdy poszłaś za mąż nie wypuszczałaś go dalej ze swej opieki, a teraz sprzeciwiasz się wszystkiemi siłami naszemu połączeniu, nie pogardzając nawet oszczerstwem.

W miarę jak mówiła pan Michał to bladł, to czerwieniał, nie spuszczając oczu z Celiny. Kiedy Helenka skończyła i czysto kobiecym obyczajem wybuchnęła płaczem, pan Michał rzekł powoli nie odwracając wzroku od żony:

— Jestem opiekunem i mam prawo decydowania, wszystko pozostaje jak dotąd, a za kilka miesięcy w terminie postanowionym odbędzie się ślub młodej pary. Żadne podejrzenia, ani melodramaty nie przeszkodzą temu!

Młoda kobieta zachwiała się jakby pod nagłym ciosem i zakrywając oczy upadła na krzesło. Kiedy po chwili podniosła głowę, była sama z mężem.

Powstała drżąca, zatrzymał ją głos męża.

— Zostań i ja mam z tobą do pomówienia...

Usiadła więc, zwracają ku niemu pobladłą twarz, na której malował się żal i gorycz.

Upłynęło kilka chwil w głębokiem milczeniu, pan Michał chodził po pokoju starając się zapanować nad sobą, jednak coraz większe wzburzenie malowało się na jego twarzy. Nareszcie stanąwszy przed żoną zapytał z tłumioną gwałtownością:

— Powiedz mi kobieto w jakim celu poszłaś za mnie?

Na to pytanie była nieprzygotowaną, w milczeniu pochyliła głowę, a pan Michał mówił dalej z gorzkim uśmiechem:

— I ja się jeszcze pytam! poszłaś jak tyle innych dla pozycyi i majątku. Wiedziałem, że nie kochasz mnie tak jak ja ciebie, lecz brałem to na karb niewinności i nieświadomości. Rozumiałem, że młoda, czysta dziewczyna, nie może tak czuć jak dojrzały mężczyzna i pocieszałem się, że inaczej będzie, gdy poznasz mnie i życie. Tymczasem jakże postępowałaś? czy dbałaś o mój spokój, o moje szczęście, a choćby tylko o moje wygody? zostałem oszukany jak tylu innych.

— Oszukany? — zawołała z oburzeniem.

— Tak jest! — odparł z energią. — Nie w tem rozumieniu jak myśli Helenka! mimo chwilowej zazdrości, której czasami opanować nie mogę na widok tego pięknego adonisa, wiem, że nie poniżyłaś się do jakiegoś występnego uczucia, lecz wiem również, w tej godzinie jaśniej niż kiedykolwiek, że za moją miłość odpłacasz mi lodowatą obojętnością. I nie może być inaczej! Pochłonięta jedną myślą, nie masz ani ochoty, ani siły do czego innego. I to jaką myślą — dodał z lekceważeniem — urojoną zemstą, nad urojoną zbrodnią.

— Więc mi nie wierzysz? — zawołała Celina z boleścią — przysięgam ci ten człowiek jest zbrodniarzem!

— Przypuśćmy, że to prawda — mówił pan Michał zatrzymując się przed nią — wartoż dla zdemaskowania go łamać życie sobie i innym?

— A więc puścić go bezkarnie, poświęcić biedną Helenkę dla mego, dla naszego szczęścia?

— Bądź spokojną, jeżeli winien, dosięże go zasłużona kara. Życie nauczyło mnie tej wielkiej prawdy, że każdy zły czyn, co więcej, każde złe słowo i niskie uczucie, mści się strasznie na człowieku. I on nie ujdzie tej odwiecznej sprawiedliwości i to wierz mi bez twego przyczynienia. Cesiu — dodał tkliwie biorąc jej ręce w swoje — wyrzecz się tej niedorzecznej myśli, nie marnuj najpiękniejszych lat naszego życia, bądź moją ukochaną i kochaj mnie nawzajem, a zapomnę o wszystkich twoich dotychczasowych dziwactwach i będziemy szczęśliwi — objął ją i przytulił do siebie.

— Niemogę, niemogę — zawołała z rozpaczą, wydzierając się — za tę cenę nie mogę, żądasz odemnie więcej niż życia! O dlaczego nie wierzysz mi i nie wesprzesz na tej trudnej drodze. Myślałam, że dowiedziawszy się o wszystkiem pójdziesz ze mną ręka w rękę...

— Nigdy! Najpierw nie wierzę w tę zbrodnię, nie masz żadnych dowodów, wszystko oparte na hipotezach, powtóre inny cel widzę w twojem życiu, mianowicie wypełnienie obowiązków wziętych na siebie. Reszta to chimera!

— Nie mam dowodów namacalnych, choć i te znajdą się z czasem, lecz najgłębsze wewnętrzne przekonanie — zawołała Celina z ogniem — a co do obowiązków, to ten jest najpierwszy...

Było więc przy nim pozostać i nie brać innych na siebie. Stało się! nie przekonałem cię, trwasz przy swojem, teraz posłuchaj i mego ultimatum. Skandalu robić nie myślę, ale kiedy rozbrat, to rozbrat. Ja wracam do mych kawalerskich nawyczek, a ty szukaj dalej zbrodniarza. Ostatni raz robiłem ci jakieś przedstawienia.

Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Wakacye widoczne są już w całej pełni. Kraków wypróżnił się, skutkiem czego i powietrze rozrzedziło się do tego stopnia, że wdychiwanie jego nie jest już połączone z takiemi, jak dotąd trudnościami. Nawet śmieci, jak to już poprzednio zaznaczyliśmy, daleko mniej, niż przedtem, choć z uprzątaniem ich czynniki do tego powołane zbyt wiele nie robią sobie kłopotu. Cicho zatem i spokojnie w mieście, najgadatliwsza bowiem część mieszkańców, to jest przedstawicielki płci nadobnej, bawią na letnich wywczasach i szczebiotem swym napełniają deptaki Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy, Rabki i t. d. Przyzwyczajonym do zwykłego ruchu i chałasu, smutno zatem i nieswojsko wszystkim tym, których losy zmusiły do pozostania w Krakowie. Nawet handelesów, którzy codziennie odwiedzają podwórza domów, widocznie mniej, z siedmiu codziennych gości kronikarskiego podwórza, zachęcających swym melodyjnym głosem do sprzedaży starych ubrań, flaszek, skórek zajęczych, pozostało zaledwie trzech, inni bawią na świeżem powietrzu, restaurując tam swe zdrowie i nie zapominając przytem o handlu, któremu i tam oddają się w wolnych od zajęcia chwilach. Słomianych wdowców namnożyło się dość, ale przyznać im trzeba, że nie okazują takiej fantazyi, jak to bywało przed wojną, gdy równocześnie z wyjazdem żony, wędrował ślubny pierścionek w bezpieczne ukrycie, aby nie zdradzić *incognito* małżonka, starającego się udawać kawalera. Wpłynęła na to ogólna sytuacya, bynajmniej się nie poprawiająca i gwałtowny brak gotówki, której całe masy trzeba stale wysyłać tam, gdzie bawi małżonka wraz z rodziną.

A drożyzna w zdrojowiskach i uzdrowiskach ogromna, co jednak nie odstrasza amatorów świeżego powietrza, mających widocznie dość pieniędzy i mogących je wydawać bez rachunku w nadziei, że co przedtem zarobili w „zakazanym pasku", w lecie zaś stracili, odbiją sobie po powrocie na wolnym handlu, który przeszedł już w Sejmie w trzeciem czytaniu.

W każdej dziedzinie życia spostrzegać się daje pewna ospałość, choć nadmierne gorąca zbytnio nam nie dokuczają, nawet polityką zajmują się mniej ci, którym się dotąd wydawało, że się bez niej obejść nie potrafią. Nie wytrąciła zatem Krakowian z równowagi nawet alarmująca wiadomość o „strasznych pogromach żydów w Liszkach", budząc jedynie pewne zaniepokojenie w okolicy Kaźmierza i Stradomia, gdzie z zasady robi się „z igły widły", o ile rozchodzi się o jakąś, choćby nawet drobną awanturę, w którą zamięszany jest jakiś neutralny obywatel. W rezultacie okazało się, że nie było się czem animować, gdyż o żadnym pogromie ani mowy nie było, a pokrzywdzoną była nie neutralna mniejszość, lecz chrześcijańska większość, a ta pierwsza, bojąc się odwetu, narobiła krzyku, że już ją biją.

Przypomniała się przy tej sposobności owa wesoła historyjka, kiedy to zaalarmowano raz telefonem policyę, iż na Kaźmierzu wywiązała się bójka między robotnikami a tamtejszymi obywatelami, a ofiarą padły dwa życia ludzkie. Gdy komisarz policyi przybył skwapliwie na wskazane miejsce i począł się dopytywać o zabitych, dowiedział się z ust jednego z obok stojących:

— Jeden zabity to jestem ja, a drugi zaraz tu przyjdzie, gdyż poszedł do domu po parasol, bo zanosi się na deszcz...

I w ogólno-światowej polityce zupełny zastój, jak to bywało o tem czasie przed wojną, gdy wielcy mężowie stanu opuszczali swe gabinety i wybierali się przeważnie do Maryenbadu, który wówczas, dzięki królowi Edwardowi VII. był w modzie. Dziś i w Maryenbadzie także mniej gości, niż to dawniej bywało, a jest to następstwem wojny. O sztucznem odtłuszczeniu nikt dziś nie myśli, owszem rad byłby, przeprowadzić taką kuracyę, która poprawiłaby jego wygląd i umożliwiła korzystanie z dawnego ubrania, wiszącego na nim teraz jak na haku. Politycy także tu się nie spieszą, bo i po co? Od śmierci Edwarda stracił Maryenbad wiele i kto wie, czy nie zejdzie z czasem do rzędu naszych Swoszowic.

Wobec tego zatem prawdziwie ogórkowego sezonu i kronikarz znalazł się w kłopocie, gdzie szukać tematu do swych tygodniowych rozmyślań. Ale Pan Bóg spoglądał nań widocznie łaskawym okiem, gdyż na największym jak się wydawało bezrybiu, ułowił raka, mogącego nawet rybę zastąpić. Oto wreszcie, to jest w dniu 8 lipca ogłosiła Jeneralna Dyrekcya Monopolu Tytoniowego, iż z dniem pierwszego lipca podnosi cenę swych wyrobów i to w sposób dość znaczny. To ogłoszenie dało powód do snucia refleksyi na temat naszej gospodarki monopolowej, która w każdym kierunku pozostawia aż zawiele do życzenia. Niedawno spotkał kronikarz w Krakowie pewną znajomą panią z Wieliczki, która przybyła do naszego miasta celem zaopatrzenia się w sól, gdyż na miejscu dostać jej nie może. A sól, to także monopol rządowy, drożeje też z każdym dniem, nabyć ją w drodze legalnej trudno, ponieważ zaś gospodarstwo domowe obejść się bez niej nie może, trzeba jej szukać w pasku, w którym, jak niegdyś w encyklopedyi, znajdzie się wszystko, czego się chce.

O sól nie rozchodzi się kronikarzowi, o nią niech już głowa boli Weronikę, jemu bardziej dolegają braki, jakie okazuje monopol tytoniowy i im też ma zamiar parę gorących słów poświęcić.

Monopol tytoniowy odziedziczyła Polska po ś. p. Austryi, ale przyznać trzeba, że nie wykonuje go tak, jak jej poprzedniczka, choć zajmują się nim ci sami ludzie, co przedtem. Kuleje on zatem, jak wogóle u nas wszystko.

Austryacki monopol tytoniowy, dziś to widzimy dopiero, odpowiadał najzupełniej swojemu zadaniu i nieuzasadnione były narzekania, kierowane pod jego adresem. Jeśli się porówna ówczesne wyroby tytoniowe z dzisiejszymi, przyznać się musi, że to dzień i noc, nie tylko pod względem ceny ale i jakości. W czasie wojny stosunki zmieniły się zupełnie, o plantowaniu tytoniu i dowozie z zagranicy i mowy być nie mogło, kazano nam zatem palić najrozmaitsze namiastki, wmawiając w konsumentów, że tylko te, których dostarcza monopol rządowy, zdrowiu nie szkodzą. Inne zaś działają zabójczo. Korzyść była z tego taka, że wielu ludzi odzwyczaiło się od palenia zupełnie, ci zaś którzy pozbyć się nie mogli nałogu nie mieli bodaj much w mieszkaniu. Wojna się skończyła, Austrya rozleciała się w czerepy, niczem stary, rozbity garnek, a monopol tytoniowy wraz z fabrykami w Krakowie, Winnikach, Monasterzyskach, Jagielnicy i Zabłotowie dostał się Polsce, która prowadzi go dalej w swoim własnym zarządzie, w przeciwieństwie do innych dzielnic, gdzie istnieje wolny wyrób i handel tytoniem, a opłaca się jedynie banderolę monopolową. I, o dziwo, w dawnej Kongresówce i zaborze pruskim tytoniu, cygar i papierosów nie brak, tylko my cierpimy stale na głód tytoniowy. Czyta się wprawdzie, że do Gdańska przybył okręt z transportem tytoniu dla Polski, że w Bułgaryi lub Rumunii zakupiono większą ilość liści tytoniowych, ale wszystko to ginie gdzieś w tajemniczy sposób, a do fabryk rządowych, np. w Krakowie nie dostaje się zarówca nic, lub bardzo mało, gdy natomiast prywatne fabryki, tak w byłej Kongresówce, jak Poznańskiem, mają go dość, przerabiają go i obficie zaopatrują swych odbiorców. A zdrowy rozsądek powiada, że w pierwszym rzędzie powinno się uwzględniać własne, rządowe fabryki, jeśli się chce, aby monopol przyniósł spodziewane dochody. Ale panowie, kierujący tą maszyną w Warszawie są widocznie innego zdania.

Z tego powodu w krakowskich trafikach stale brak tytoniu, cygar i papierosów, gdy natomiast choćby tylko w niedalekim Sosnowcu ma się ich w każdym sklepie ogromny wybór i to najprzedniejszej jakości. Pan Bajański, który jest naszym dostarczycielem „palива", jest też stale w strasznych opałach, dwu kroków nie może zrobić na ulicy, aby go ktoś nie zatrzymał pytaniem:

— Panie radco, a co z tytoniem?

— Będzie, będzie...

— A kiedy?

— Jak tylko fabryka dostarczy.

— A kiedy to może nastąpić?

— Jak tylko dostaną surowy materyał do przeróbki...

— A dingo na to trzeba czekać?

— Tego sama fabryka nie wie!...

Wobec takiej gospodarki monopolowej, która również bardzo dodatnio wpływa na odzwyczajenie się od palenia, ci, którzy bez tytoniu obejść się nie mogą, szukać go muszą w pasku, a tam go nie braknie, gdyż była Kongresówka nie jest tak daleko, spotyka się nawet i zagraniczne przemycane tytonie, monopol zatem tak stosowany przynosi dochód paskarzom, a nie państwu.

Ceny tytoniu, wyrabianego w rządowych fabrykach, są poprostu bajeczne, temu jednak ostatecznie dziwić się nie można, jeśli się zważy, jak niską wartość ma nasza waluta, a w każdym razie możnaby sobie życzyć, abyśmy, skoro tyle płacimy, nie byli narażeni na brak i niepotrzebne darcie butów, jeśli się chce kto dowiedzieć, kiedy można się spodziewać, że trafika dostanie z fabryki odpowiednią ilość zapasów.

Przy każdej nowej podwyżce zapewnia solennie Jeneralna Dyrekcya Monopolu, że jakość przetworów tytoniowych wybitnie się polepszy, obietnice jej nie zawsze przecież się spełniają. Przy jednej z ostatnich skonstatowaliśmy, iż poprawiła się jakość, ale papieru, w który tytoń jest pakowany, nowy bowiem daleko grubszy był od poprzedniego.

Ta nieszczęśliwa „jakość", to prawdziwa pięta Achillesowa naszego monopolu. Stwierdził to kronikarz choćby tylko na zwykłym tytoniu fajkowym, z cygar bowiem i papierosów dawno już zrezygnował. Paczka takiego „zwykłego fajkowego", która dotąd kosztowała dziesięć marek, od pierwszego lipca zaś dwadzieścia, zawiera w swem wnętrzu czasem takie osobliwości, że niedawno, gdy kronikarzowi upadł na ziemię „kawałek" tytoniu, Weronika była w rozpaczy, pewna, że to lampa urwała się z haka, lub ktoś z ulicy wrzucił cegłę do pokoju. Te „kawałki" tytoniu, zebrane z pięciu paczek, wystarczą na jednorazową podpałkę do pieca, ale przedtem trzeba kupić kółko drzewa za ośmdziesiąt marek, by je mieć przy czem wysuszyć, są bowiem z reguły wilgotne, prawdopodobnie dlatego, aby tytoń, skoro jest taki drogi, długo się też palił. W tak zwanym „przednim fajkowym" (dawna cena szesnaście marek, obecna dwadzieścia pięć), który ma być lepszym od poprzedniego, spotyka się też owe „kawałki" daleko większe i liczniejsze i na tem tylko polega owa „lepsza jakość".

W każdym razie jest to tytoń, a nie „namiastka", zdrowiu więc, tak jak ona, szkodzić nie powinien, ujemnie przecież wpływa na system nerwowy, dając powód do irytacyi, gdy się zajrzy do wnętrza paczusi i przekona się, co ona zawiera. I znów ciśnie się na usta palacza skarga pod adresem monopolu, że za taką cenę powinno się dawać daleko lepszy towar. Tytoń fajkowy za dwadzieścia marek nie wytrzymuje absolutnie porównania z dawnym austryackim za dwa centy, jest go i mniej i daleko gorszy.

Ta gospodarka monopolowa nauczyła też bardzo wielu palaczy starania się o zapasy tytoniowe dla siebie z pominięciem właściwych źródeł nabycia. W tym celu plantują tytoń w doniczkach, w ogródkach, przerabiają go sami i mają bodaj tę satysfakcyę, że palą materyał stosunkowo dość dobry, co zaś najważniejsze, tani, ale monopol rządowy cierpi na tem, gdyż pozbawia go to większej części dochodu, który wpłynąłby do jego kasy, gdyby się starał, aby fabryki rządowe miały co przerabiać i w co zaopatrywać swych odbiorców. A ci konsumenci, to odbiorcy bardzo pewni, gotowi raczej wyrzec się jedzenia, byle tylko módz sobie „puścić dymka".

Jeśli zatem monopol ma być racyonalnie prowadzony, to jest przynosić państwu dochody, bo na to go stworzono, musi być prowadzony zupełnie inaczej, ewentualnie zamieniony na taki, jak w Kongresówce lub w byłym zaborze pruskim. Tak, jak jest obecnie, to szkoda tylko zajmowania tyla ubikacyi, które mogłyby być użyte na inny pożyteczniejszy cel i zatrudniania personalu, mogącego przydać się gdzieindziej i pracą swą przysłużyć się ogółowi, gdy tu natomiast przyzwyczaja się do próżniactwa.

Wszystko to zmierza, jak się zdaje, do oddania naszego monopolu tytoniowego w ręce obcego przedsiębiorstwa, które poprostu wydzierżawi go od naszego Rządu za jakąś niezbyt wysoką cenę, a same ciągnąć zeń będzie pokaźne zyski. Rząd będzie miał dochód, pozbywając się przy tem kłopotu. Czy jest to racyonalna polityka ekonomiczna, zadowalniać się małymi zyskami, jeśli można mieć większe?... Narzekamy, że nasze kapitały idą za granicę i obniżają przez to wartość naszej waluty, a tymczasem same te sfery decydujące, które nad tem tak ubolewają, przyczyniają się do tego, byle tylko mieć jak najmniej kłopotu i zachodów. Przy tak rozszerzonem zapotrzebowaniu wyrobów tytoniowych, bez których większość absolutnie obejść się nie może, ten właśnie monopol powinien państwu przynosić bardzo wielkie dochody, ale musiałby być prowadzony bodaj w ten sposób, jak to było za czasów austryackich. A o to chyba nie trudno, gdyż moglibyśmy i powinnibyśmy się tem zająć ci sami, którzy to mieli w swych rękach za dawnych czasów, a nie jacyś panowie o „domowem wykształceniu", którzy tyle mają wspólnego z tytoniem i na tych sprawach o tyle się znają, o ile sami hołdują nałogowi nikotynowemu.

Za austryackich czasów Galicya Wschodnia dostarczała bardzo wiele tytoniu, a uprawa jego przynosiła tamtejszej ludności piękne dochody, obecnie mieliśmy się sposobność przekonać, że i w zachodniej części kraju udają się nawet najszlachetniejsze gatunki, że zatem nie potrzebujemy się oglądać na zagranicę, aby zaspokoić swe zapotrzebowania. Potrzeba do tego tylko trochę dobrej woli i znajomości rzeczy.

Niech tam zresztą prowadzi sobie monopol tytoniowy, komu się podoba, bylebyśmy nie byli narażeni na ciągłe braki i skazani na wydanie na łup wszechpotężnego paska, jak to dzieje się obecnie. Za tytoń tyle się płaci, że się ma chyba prawo żądać, aby było go podostatkiem i aby jakość jego nie dawała powodu do skarg na niesamienność monopolu, który, jako instytucya rządowa, powinien innym przedsiębiorstwom świecić przykładem, a nie uczyć je, jak wyzyskiwać konsumenta.

Likwidacya powstania górnośląskiego.

Ruch zbrojny, jakiego musiała chwycić się ludność polska na Górnym Śląsku, prowokowana stale przez zbyt pewnych siebie Niemców, a doprowadzona do ostateczności nadchodzącemi z zagranicy wieściami o niekorzystnem dla nas rozstrzygnięciu sprawy przynależności tego kraju, został, dzięki staraniom Komisyi międzysojuszniczej watrzymany. Sfery decydujące oświadczyły uroczyście, że w pełnej mierze uszanowane zostaną postanowienia traktatu wersalskiego, a zatem uwzględnioną wola ludu, mającego stanowić o swym losie i to przyczyniło się w głównej mierze do uspokojenia umysłów po stronie polskiej. Na zaprzestanie ruchów agresywnych ze strony Niemiec potrafiono również wpłynąć przedstawieniami, że dolewają one tylko oliwy do ognia i ostatecznie muszą wyjść na ich niekorzyść. Wobec tego zdecydował się i dowódca sił niemieckich na Śląsku jenerał Hoefer na przyjęcie żądań mocarstw sprzymierzonych i zaprzestał dalszych kroków wojennych.

Na Górnym Śląsku zapanował zatem spokój, przerywany tylko od czasu do czasu prowokacyami dalszemi ze strony Niemców, którym trudno zejść z obranej raz drogi gwałtu i rozboju. Polacy zachowują się bardzo poprawnie i wyczekują z niecierpliwością ostatecznej decyzyi o swym losie, mającej zapaść jeszcze w ciągu bieżącego miesiąca.

Z powodu zaprzestania kroków wojennych z obu stron, wydała Komisya międzysojusznicza w Opolu odezwę do ludności górnośląskiej następującej treści:



Amerykańskie święto w Warszawie: „Krakowiak" odtańczony przez dzieci polskie przed posłem Gibsonem.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa



Likwidacya powstania górnośląskiego: Sztab 2 bat. 1 pułku strzelców śląskich podczas wypoczynku: 1) Dca bat. Marcin Wyród Przyborowski, 2) dca 6 komp. Napoleon Francek-Kwaśnik, 3) dca 4 komp. M Łabędzki, 4) oficer prowiantowy Malski, 5) dca 5 komp. Jan Satyr-Żychoń-Wirski, 6) adjutant bat. Woźniak, 7) młodszy oficer 5 komp. Tadeusz Janowiecki, 8) młodszy oficer 4 komp. Izbiński. 9 lekarz bat. Koneczko.

„Do mieszkańców Górnego Śląska! Komisya międzysojusznicza rządząca podaje do wiadomości mieszkańców Górnego Śląska, że poddają się rozkazom komisyi, siły powstańców polskich oraz nieregularne formacye niemieckie wycofują się ze swoich pozycyi i dnia 5 lipca wieczorem zostaną rozwiązane. Zarząd Górnego Śląska obejmie znów w swe ręce Komisya międzysojusznicza i wszystkie organizacye utworzone nieprawidłowo, nie będą miały ani autorytetu, ani jakiegokolwiek rodzaju władzy. Zadowolona z owego poddania się, a zarazem pragnąc zatrzeć w pamięci wszelkie urazy narodowe, Komisya międzysojusznicza postanowiła wydać amnestyę, stosując ją do wszystkich czynów przeciwnych prawu, a popełnionych z powodu powstania, z wyjątkiem atoli czynów popełnionych celem osiągnięcia zysku. 2) Ze zemsty osobistej, 3) za okrucieństwa. Lecz z owej amnestyi nie będą korzystały te osoby, które po dniu mającym być jeszcze ogłoszonym, będą w posiadaniu broni palnej, albo materyału wybuchowego. Licząc na to, że ludność swojem postępowaniem odwzajemni się za ten akt łaski i zarazem będzie stanowczo zdecydowana stłumić wszelkie usiłowania narażenia bezpieczeństwa publicznego, Komisya międzysojusznicza wzywa mieszkańców Górnego Śląska, aby w spokoju i pełnej ufności dla bezstronności mocarstw sojuszniczych oczekiwała postanowień, które mają być powzięte na mocy traktatu wersalskiego".

Nie jest to jednak bynajmniej likwidacya ruchu zbrojnego na Górnym Śląsku w pełnem znaczeniu tego słowa, to jest bezczynne opuszczenie rąk i zdanie się na łaskę i niełaskę losu. Jest to raczej pewien rodzaj cierpliwego z naszej strony wyczekiwania, czy i te ostatnie zapowiedzi uwzględnienia naszych słusznych praw nie zawiodą, podobnie jak tyle innych obietnic, jakich nam dotąd nigdy nie żałowano, ale w myśli, że nie mają się nigdy doczekać spełnienia. Sfery kierujące ruchem na Górnym Śląsku zdają sobie widocznie z tego dobrze sprawę, jak o tem świadczy artykuł wstępny organu urzędowego Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych „Powstaniec" z dnia 28 czerwca, zatytułowany „Na urlop".

Czytamy tam między innemi:

„W najbliższych dniach rozpocznie się rzeczywista likwidacya powstania wobec tego, że Niemcy okazali skłonność do wycofania swych oddziałów. Narady, przedsięwzięte w tej sprawie przez naszych przedstawicieli z komisyą koalicyjną, doprowadziły do porozumienia.

Pójdziemy na urlop, aby doczekać decyzyi w sprawie górnośląskiej, aby w ten sposób umożliwić naszym władzom i rządowi polskiemu dyplomatyczne stosunki z aliantami.

Będzie to tylko urlop, jak na wojnie, to jest w ciągłem pogotowiu! Z tym faktem muszą się liczyć alianci, że jeśliby nas chciano pokrzywdzić, spaczyć wyraźnie brzmienie traktatu wersalskiego i oddać nas na nowo w pruską niewolę — wtedy urlop nasz kończy się i pertraktacyi nie będzie więcej... Gdy się lud nasz przekona, że go oszukano, wtedy straciłby zaufanie tak do swych polityków, jak i do francuskich.

Niechaj więc alianci dobrze zastanowią się nad tem, że niesprawiedliwie załatwiona sprawa górnośląska grozi nową wojną w Europie.

Nie będzie spokoju w tym kraju, jeżeli prawa naszego narodu, jako odwiecznych mieszkańców Górnego Śląska, nie będą uznane i uszanowane. Chcemy być narodem wolnym, a nie niewolnikami. Nie spoczniemy prędzej w walce, aż wywalczymy sobie ostatecznie wolność i warunki politycznego duchowego i gospodarczego rozwoju.

Tak nam dopomóż Bóg!

Powracamy do pracy, do swych zajęć zawodowych, ale czuwać będziemy jak żołnierze na posterunku, gotowi każdej chwili do dalszej obrony naszej staropolskiej ziemi i naszej wolności".

Nie likwidacya zatem, ale wyczekiwanie i to wyczekiwanie w pogotowiu, aby przypadkiem nie zostać zaskoczonymi niespodzianką, o jaką dziś nie trudno.



Likwidacya powstania górnośląskiego: Kompania karabinów maszynowych 2 bat. strzelców śląskich na pozycyi rezerwowej w pośrodku: dca. komp. Nagły Maryś Płazobski.

I Niemcy nie zasypiają gruszek w popiele. U nich wre praca w całej pełni, a są od nas w tem szczęśliwszem położeniu, że gdy Polacy górnośląscy muszą liczyć tylko na swoje własne siły, nie mogąc się spodziewać nawet od Polski innego, jak tylko moralnego poparcia, oni cieszą się względami i opieką Anglii, która dotąd, wbrew ogłaszanym obecnie komunikatom, trwa stale na dawniej zajętem, wrogiem dla nas stanowisku.

Polskie oddziały powstańcze rozeszły się zatem do swych zagród i zabrały napowrót do pokojowej pracy, nadsłuchując jednak uważnie, czy nie zabrzmi znowu trąbka bojowa, wzywająca ich do spełnienia swej świętej powinności. To, co dotąd zdziałali, każe żywić nadzieję, że godnie wywiążą się ze swego zadania, że nie są, jak ich pisma angielskie z pogardą nazywają „bandami rabusiów", a Korfanty ich „herszterm", lecz nie ustępują w niczem nawet regularnej armii, pełnią wzorowo swą służbę, przestrzegają ściśle zasad dyscypliny wojskowej i poszanowania prawa i mogą śmiało i skutecznie stawić czoło nawet tak militarnie wyszkolonym zastępom, jak bojówki niemieckie, składające się prawie wyłącznie z regularnego żołnierza.



Likwidacya powstania górnośląskiego: Dowództwo 4 komp. 2 bat. strzelców w drodze z frontu. w pośródku: 1) Da bat. Marcin Wyród-Przyborowski, 2) dca komp. M. Łabędzki, 3) młodszy oficer komp. 4) zast. dcy bat. Jan Flara-Flarzyński.

W niniejszym numerze podajemy kilka ilustracyi, odnoszących się do jednego z naszych oddziałów powstańczych, który w ciągu ostatnich walk na Górnym Śląsku okrył się chwałą i udowodnił nie po raz pierwszy i ostatni, że „każdy Polak, to urodzony żołnierz", a rzemiosło wojenne, to dlań igraszka.

Zgon cichego, a zasłużonego pracownika.

Nauka polska poniosła niepowetowaną stratę przez śmierć ś. p. Bolesława Biskupskiego, długoletniego kustosza Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie. Zeszedł z tego świata pracownik cichy, a sumienny, głębokiej wiedzy, całem sercem i duszą jej oddany, nie szukający rozgłosu, człowiek o zaletach charakteru i serca, jakie dziś spotkać trudno. Najlepszą jego charakterystyką są słowa krótkie, ale wiele mówiące, których użył w wspomnieniu o ś. p. Zmarłym jeden z jego współpracowników, pisząc, że „umarł prawdziwy człowiek".

S. p. Bolesław Biskupski, znany dobrze pracującym na polu naukowem, mniej zaś szerszemu ogółowi, prawie całe swoje życie poświęcił nauce. Znakomity znawca literatury, historyi, geografii i bibliografii, przez lat przeszło czterdzieści kierował jako kustosz, zwłaszcza biblioteką ks. Czartoryskich w Krakowie, jego staraniom zawdzięczyć należy doprowadzenie tej instytucyi do stanu, w jakim się obecnie znajduje. On zbiory biblioteczne zawiózł do Krakowa z Sieniawy, on je własnoręcznie uporządkował, one były jego życiem i jedynym celem jego troski. Z jego wskazówek korzystały przez lat dziesiątki całe rzesze pracowników, tak młodszych, jak i starszych, rad tych nikomu nie skąpił, ciesząc się, że bodaj w ten sposób może służyć ukochanej wiedzy, sam zbyt skromny i niedowierzający własnym siłom, aby mógł podjąć się jakiegoś dzieła, które pozwoliłoby mu wybić się ponad szary tłum. Brakło zresztą do tego i czasu, który w całości poświęcał obu instytucyom, nie żądając za to od społeczeństwa nic, całą nagrodę dla siebie upatrując jedynie w sumiennej, mrówczej a skutecznej pracy dla dobra nauki.



Dwa różne doktoraty: Marya Curie Skłodowska w pochodzie akademickim Uniwersytetu Columbia (Nowy Jork), który nadał jej tytuł honorowego doktora.

S. p. Bolesław Biskupski urodził się w Krakowie w r. 1844. Tu się wychował i wykształcił, tu nauczył się kochać wszystko, co dobre, szlachetne i wzniosłe, tu też spędził cały swój pracowity żywot, od wczesnej młodości, ciężko borykając się z losem. Uczył w Krakowie i na prowincyi, gdzie jednak długo nie bawił. W najbliższych stosunkach żył ze ś. p. prof. Łepkowskim, dyr. Estreicherem i Żegotą Paulim, pracował z nimi wspólnie, oni też na jego życie wywarli wpływ decydujący. Od roku 1876 poświęca się stale i wyłącznie bibliotece przy Muzeum ks. Czartoryskich, kieruje nią umiejętnie przez lat czterdzieści dwa i na tem polu oddaje nauce polskiej nigdy niezapomniane usługi.

Wierzył każdemu, pragnął kochać każdego, mimo, że doznał wielu zawodów i wielu przykrości, jednak wiary w ludzi nie mógł się pozbyć. Dopiero w ostatnich latach, kiedy doznał największej przykrości od tych, którym najbardziej był oddany, stracił wiarę we wszystkich i często rzewnemi łzami płakał na niewdzięczność ludzką. Odsunięty od zarządu biblioteki z powodu podeszłego wieku, choć czuł się jeszcze silnym i zdrowym, stracił podstawę życia. Brak biblioteki, brak ludzi w niej pracujących, tej ciągłej podniety, jaką żył lat tyle, odbił się fatalnie na jego zdrowiu i usposobieniu. Przyłączyły się do tego i cierpienia moralne i to wielkie, zdawało mu się bowiem, że odsunięto go z powodu braku zaufania. Widział, że nie jest tak wynagradzany, jak mu się to należało, zaczęło mu brakować pieniędzy, nawet na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb, a wszystkiego sobie stale odmawiał.

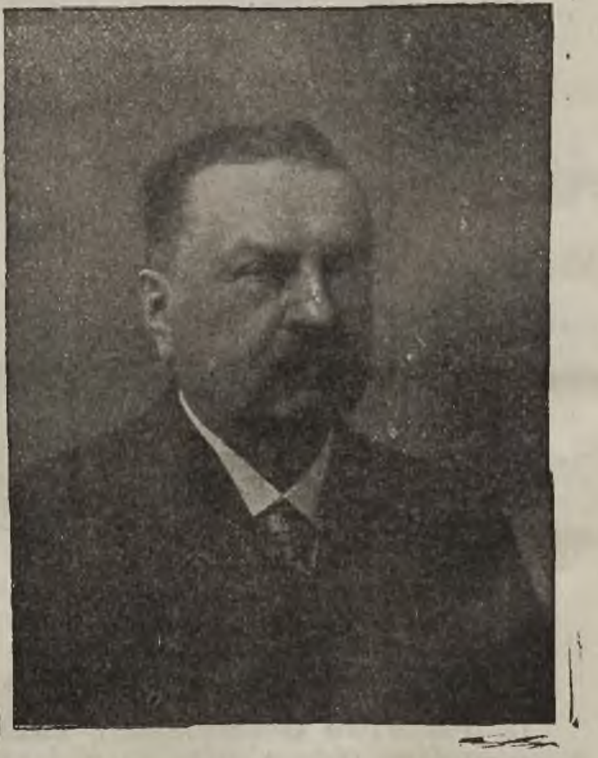
Zgasł cicho, jak cichym był cały jego żywot. Przestało bić szlachetne serce, które nadewszystko ukochało wiedzę, zeszedł do grobu prawy Polak, pracownik skromny a niestrudzony, wzór dla wszystkich godny naśladowania.

Dwa różne doktoraty.

W ostatnich czasach weszło w modę nadawanie honorowych doktoratów uniwersyteckich w daleko większej liczbie, niż to było dawniej w zwyczaju. Przed laty czczono w ten sposób zasługi położone rzeczywiście na polu naukowem, obecnie wchodzą w grę także względy polityczne. W ciągu niespełna roku uniwersytety europejskie i amerykańskie zamianowały tylu honorowych doktorów, iż lista ich nazwisk objęłaby z pewnością kilkaset pozycyi. Między odznaczonymi są przeważnie ludzie, którzy położyli prawdziwe zasługi dla ludzkości jeśli nie na polu ściśle naukowem, to bodaj na kulturalnem lub filantropijnem, nie brak przecież między nimi i takich, których tytułem doktorskim ozdobiono jedynie ze względów kurtuazyi politycznej.

O dwu takich honorowych doktoratach, nadanych w ostatnich czasach, donoszą pisma zagraniczne. Są one obydwa honorowe, lecz w zasadzie różnią się gruntownie między sobą, jeden bowiem przypadł w udziale osobie na polu wiedzy głęboko zasłużonej i znanej całemu światu, drugi zaś członkowi domu panującego, który, być może, w ojczyźnie swojej zaszczepi kiedyś zamiłowanie do europejskiej kultury, na polu ściśle naukowem przecież a nawet kulturalnem lub filantropijnem poznać się dotąd nie dał, a całą zasługą jego jest, iż jest następcą tronu w państwie, na którego przyjaźni zależy narodowi zdobiącemu biretem doktorskim czoło przyszłego władcy.

Pierwszy doktorat przypadł w udziale p. Maryi Curie Skłodowskiej, a nadał go jej Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku, drugim odznaczył angielski Uniwersytet w Cambridge japońskiego następcę tronu, dwudziestoletniego księcia Hirohito.



Zgon cichego, a zasłużonego pracownika: S. p. Bolesław Biskupski, długoletni kustosz Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie.

Pani Marya Curie Skłodowska zasługami swemi na polu naukowem, zwłaszcza zaś w dziedzinie radiologii zasłużyła sobie w zupełności na to, aby ją zamianowały doktorem honorowym wszystkie uniwersytety świata, jakże dziwnie jednak od tego jej odznaczenia odbija prawie równoczesne zamianowanie honorowym doktorem młodziutkiego księcia, który z nauką i wiedzą tyle z pewnością będzie miał wspólnego, ile przeciętny z europejskich władców, obdarzony także tym akademickim najwyższym tytułem przez swych lojalnych poddanych, lub sąsiadów, starających się o jego względy. Ci koronowani mecenasi nauki i sztuki, zaliczeni w poczet honorowych doktorów najstarszych nawet i najsławniejszych wszechnic, ogromnie dziwnie odbijają od swych również „honorowych" kolegów, którzy ten wysoki tytuł naukowy osiągnęli dzięki rzetelnej a niestrudzonej pracy na polu nauki.

Ale trudno!... I nauka musi w obecnych czasach podporządkować się względom polityki, a raczej interesu na tle politycznem.

Sympatye francusko-angielskie na Wschodzie.

Usiłowania lorda Derby, aby doprowadzić do ścisłego sojuszu między Anglią a Francyą nie odniosły wprawdzie pożądanego rezultatu, mimo to



Dwa różne doktoraty: Japoński następca tronu, książę Hirohito, w stroju doktora angielskiego Uniwersytetu w Cambridge.

aż nazbyt widocznem jest, iż oba te mocarstwa w imię wspólnych interesów starają się o nawiązanie między sobą przyjacielskich stosunków. Zwłaszcza sprawa wschodnia stanowi wielką troskę dla obu rządów. W zatargu grecko-tureckim jest bardziej zainteresowaną Anglia, Francya natomiast stara się umocnić swe wpływy w Syryi, zostającej pod jej protektoratem, gdzie rezydent francuski, jenerał Gourand rozwinął bardzo intenzywną działalność.

Dzięki jego staraniom otwarto w Bejrucie wystawę i jarmark-targ, które dały sposobność stwierdzenia, że między Francyą i Anglią istnieją najlepsze stosunki, a zatem i porozumienie w sprawie wschodniej. Między innymi odwiedził wystawę i jarmark także i „wysoki komisarz" angielski dla Palestyny, sir Herbert Samuel, przyjmowany bardzo uroczyście przez rezydenta francuskiego i tamtejsze władze.



Z estrady koncertowej: Znakomity pianista, Krakowianin, Mieczysław Münz.

Bezpośrednio przedtem bawił jenerał Gourand w Egipcie, gdzie zetknął się osobiście z „wysokim komisarzem" dla Egiptu angielskim marszałkiem Alemby i jenerałem Congreve, co również zaznaczyły z wyraźnym naciskiem pisma francuskie, jako nowy dowód wspólności interesów obu państw na Wschodzie i ich wzajemnego porozumienia.

O ile zatem chodzi o Syryę i jej stosunek do Francyi, dochodzi się do przekonania, że wpływy francuskie udało się jenerałowi Gourand silnie tutaj ugruntować, a działalność jego dotychczasowa spotkała się z uznaniem tak własnego rządu, jak i miejscowej ludności. Oprócz kwestyi politycznych nie schodzą z jego oka także i kulturalne i sportowe, a dowodem tego choćby wyścigi urządzone tamże.

Zupełnie natomiast inaczej dzieje się w sąsiedniej Palestynie, pozostającej pod wpływem wyłącznie angielskim. Tutaj o porozumieniu zgodnem protektorów i ludności miejscowej niema ani mowy, a prasa i społeczeństwo angielskie dość sceptycznie zapatrują się na kwestyę palestyńską.

Teraz dopiero ukazują się w prasie angielskiej szczegółowsze wiadomości o rozruchach, które rozpoczęły się w dn. 1 maja w Jaffie i trwały przez kilka dni, pociągając za sobą liczne ofiary w ludziach.

Z wiadomości tych wynika, że żydzi wnieśli do Palestyny czynnik rozkładu, czując się tam pod opieką Anglików panami. Doprowadzili do rozpaczy ludność arabską, głosząc wszędzie, że Palestyna jest dla żydów i Arabowie najlepiej zrobią, jeśli wyniosą się póki są cali; groźby te popierają czynem, bojkotując Arabów na każdym kroku i przelicytowując ich przy wykupnie sklepów po miastach, ziemi na wsi. Oprócz tego wśród emigrantów żydowskich znalazł się wielki procent bolszewików, zamierzających stosować terorystyczne metody wobec tamtejszej burżuazyi. O zamiarach tych świadczy najlepiej fakt, iż w ciągu kilku dni policya w Jaffie, i innych miejscowościach wykryła u żydów prawie 4 tony dynamitu i setki bomb i granatów ręcznych.

Nic dziwnego tedy, że gdy na 1 maja w żydowskiej dzielnicy Jaffy, po uprzedniem rozrzuceniu odezw do mordowania wszelkich właścicieli, utworzył się pochód żydowskich bolszewików z czerwonemi flagami, mahometanie uzbroili się w kije, noże, motyki i poczęli rozpędzać pochód w obawie, że zwróci się przeciw nim.



Sympatye francusko-angielskie na Wschodzie: Uroczyste powitanie przybyłego do Bejrutu „wysokiego komisarza" dla Palestyny sir Herberta Samuela, przez francuskiego rezydenta jenerała Gourand'a, władze i ludność.

To było początkiem rozruchów. Wojsko angielskie musiało interweniować i w rezultacie oprócz kilkunastu zabitych przez Arabów żydów, padło przeszło stu Arabów.

Sir Herbert Samuel, „wysoki komisarz" angielski, nie robi sobie oczywiście, wiele z tego, jednak Anglikom zaczyna się niepodobać to, że wojsko angielskie musi brać na siebie odium świata muzułmańskiego, a Anglia musi jeszcze do tego dopłacać 8 milionów funtów rocznie. Dzienniki londyńskie zamieszczają alarmujące korespondencye z Palestyny, a przy wyborach uzupełniających w Londynie padł kandydat żyd na tle antysemickiej agitacyi.

Z estrady koncertowej.

Mieczysław Münz, Krakowianin, choć młody wiekiem, bo zaledwie dwudziestoletni młodzieniec, zdobył sobie nie tylko w kraju, ale i zagranicą zasłużoną sławę jako pianista, łączący zamiłowanie z jej prawdziwem odczuciem, kolosalną techniką i świetnem wyszkoleniem, które go już dziś stawiają w rzędzie pierwszych mistrzów fortepianu.

Od najwcześniejszych lat młodości okazywał artysta tak fenomenalne zamiłowanie do muzyki, iż, jako trzyletnie dziecko, potrafił jednym palcem odegrać tak trudne utwory, jak sonaty Bethovenowskie. Talent ten wrodzony, należycie pokierowany, rozbłysnął też w krótkim czasie świetnym blaskiem. Po początkowych studyach w Krakowie kształcił się u prof. Lalewicza w wiedeńskiej Akademii muzycznej, następnie u Egona Petriego, poczem po złożeniu egzaminu dojrzałości wyjechał do Berlina celem uzupełnienia swego muzycznego wykształcenia na tamtejszych Kursach mistrzowstwa.

Jako jeszcze dziecko brał udział w licznych koncertach na cele dobroczynne, jako trzynastoletni chłopiec popisywał się w salonach księżnej Metternich we Wiedniu, zaszczytnie przez nią wyszczególniony. Produkcye jego muzyczne spotykały się wszędzie z należytem uznaniem, a zwłaszcza prasa berlińska wyrażała się wprost entuzyastycznie o znakomitym polskim artyście.

Obecnie, po szeregu koncertów, bawi nasz pianista na wypoczynku w Zakopanem, skąd we wrześniu wyrusza na tournée artystyczne, obejmujące Wiedeń, Berlin, Drezno, Lipsk, Rzym, Medyolan, Turyn i Tryest, w grudniu zaś zamierza udać się na szereg koncertów do Ameryki Północnej.

Zaznaczyć wypada, że p. Münz wszędzie zagranicą kładzie silny nacisk na swe polskie pochodzenie, a ujawnia się to najlepiej z recenzyi pism berlińskich, nazywających go stale „polskim pianistą".

Od Redakcyi: W numerze 28 „Nowości Illustrowanych" z dnia 9 b. m. pod fotografią do artykułu „Dalszy rozwój kooperatywy wśród kolejarzy" podano błędnie nazwisko p. T. Kluczki, dyrektora Związku. Podpis brzmieć winien: Dyr. Zw. Okr. Sp. Kol. T. Kluczka

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył Ślązak z Bytomia

Z każdego wyrazu wyjąć obok siebie stojące głoski i ułożyć z nich nazwisko osobistości, będącej obecnie na ustach całej Polski:

Zakopane, arfa, Panteon, Attyka.

Trójkąt magiczny.

Ułożył S. Malinowski, Poznań.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w poziomych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko popularnego w Polsce członka pewnej misyi zagranicznej:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Miasto na Syberyi. 3. Uroczystość ludowa w Krakowie. 4. Dopływ Wisły. 5. Ryba. 6. Francuski ród książęcy. 7. Spółgłoska

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożyła Marya Jastrzębska, Wadowice,

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane kolejno, utworzą bardzo popularne dziś w Polsce nazwisko:

sz — — ła
a — — a
ł — — y
mo — — ka

REBUS:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) M. Rodziewiczówny „Farsa panny Heni" (nowela); 2) Kalendarz familijny na rok 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 27.

Trójkąt magiczny. **Bielany**, indygo, Emaus, lama, Abo, ni, y.

Okienko. Wisła, stuła, agawa

Kwadrat magiczny. Rota, omar, talk, arka.

Rebus: Podanie mówi, że łza ptaka skamieniała staje się bursztynem.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: A. Zieliński Jasło, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S. Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. omperdowa Lwów, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwow, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, C. Górny Limanowa, M. Raszewska Warszawa, D. Grajower Rzeszów, S. Piekarski Poznań, S. Sadowski Warszawa, H. Malczewska Warszawa, J. Bielawski Rzeszów, T. Michalkiewicz Przemyśl, H. Waligórski Tarnów, H. Maciejowski Lwów, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rogalska Podgórze, K. Kozłowski Sandomierz, Z. Zawadzki Warszawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) A. Zieliński Jasło (powieść); 2) M. Raszawska Warszawa (kalendarz familijny). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.